

Pod ścianą

11 października 2016

Cała ta opowieść jest w pełni prawdziwa, w pełni osobista.

Czy był zwyczajnym zbieraczem makulatury, czy – jak twierdził – policjantem w cywilu? Nie wiem. Wielokrotnie powtórzyłam, że uratował mi życie; wypowiadam te słowa, by móc je usłyszeć, i szukam w ten sposób ucieczki z nocy, szyboletu, który pozwoli mi ją opuścić. Zamieniam ją – noc – w osobistą historię opowiadaną w czasie przeszłym; umieszczam ją pomiędzy znakami interpunkcyjnymi. Oczywiście, nawet mu nie podziękowałam.

– Proszę się położyć! Położyć! POŁOŻYĆ! – wrzeszczy na całe gardło, próbując przekrzyczeć odgłosy karabinów, i wskazuje ścianę. – Proszę nie podnosić głowy!

Noc 15 lipca, przed klubem oficerskim w stambulskiej dzielnicy Harbiye. Niedaleko, w budynku radia, od wielu godzin trwają przerażające walki, ambulansy nieustannie wożą rannych, są zabici. Snajperzy zajęli pozycje wokół klubu i nie pozwalają nikomu przejść. Na chodniku naprzeciwko zebrało się niemal 200 osób. Raz na jakiś czas podrywają się, skandując slogany i wzywając imienia Boga, po czym próbują ruszyć na drugą stronę ulicy; snajperzy znów otwierają ogień, a ludzie znów kładą się na ziemi... Nie jesteśmy na froncie, lecz na szerokiej, zwykle ruchliwej alei, jednej z głównych arterii miasta; nie ma tu gdzie się schować, a całe to szkło, metal i plastik nie chronią przed wojną.

– Po tej stronie jest bezpieczniej – powiedział przed chwilą zbieracz makulatury, zanim snajperzy zauważyli kilka ukrytych w mroku osób...

Kiedy po wysłaniu wiadomości: „Dotarłam do siebie, był pucz. Wszystko w porządku”, wychodziłam z domu, miałam zamiar rzucić okiem na okolice Mecidiyeköy. Gdyby na pierwszym skrzyżowaniu tej nocy policja uprzejmie nie pozwoliła mi przejść, nie

upierałabym się i nie próbowałabym przemknąć bocznymi uliczkami. Ulice nie są jeszcze zbyt tłoczne, lecz nie są też wyludnione... W odpowiedzi na pierwsze wezwanie niespokojni ludzie zmierzają grupami na plac Taksim, jedynie z rzadka wykrzykując jakieś slogany. Krótkie kolejki przed bankomatami i piekarniami; kolorowa parada straży pożarnej przy akompaniamencie syren... Nie widać choćby jednego żołnierza; nie ma tu podobieństwa do puczu z 1980 r., ale nie ma też ducha protestów w parku Gezi. Wszystko jest o wiele bardziej nieokreślone, złowieszcze... Czuję się jak w teatrze, gdy przygasły światła i wśród niejasnych dźwięków wymieniana jest scenografia. Zdaje się, jakby ta noc miała przelać się przez swoje granice, dojść do ekstremów i zamienić w ostentacyjną, nieudaną parodię samej siebie...

Stopniowo rosnący, coraz bardziej spójny tłum przystaje w dzielnicy Osmanbey. Pierwsze wystrzały, chaos, panika... Jedni biegną w tył, inni w boczne uliczki... Wieść o tym, że żołnierze otworzyli ogień, szybko się rozchodzi. Spotykamy się na jakimś skrzyżowaniu i od razu zaczynamy rozmawiać. Dziewczyna w chuście na głowie i z flagą w dłoni opowiada mimo dezaprobaty widocznej w spojrzeniach jej towarzyszy (to mnie, milczącej kobiecie w niebieskiej sukience zapewne nie ufają):

– Żołnierze zaczęli strzelać z wozu opancerzonego... Człowiek, który szedł tuż przede mną, dostał w czoło. A jeden z boku w nogę. – Po jej twarzy, na której z trudem mieści wielkie z przejęcia oczy, przechodzi płomień zatroskania. – ZABILI GO... Chyba... Jak ktoś dostanie w czoło, to ginie, nie?!

Wydaję z siebie niekontrolowany krzyk i na wpół świadomie ruszam ku narastającym odgłosom wystrzałów, jak pozbawiona steru żaglówka niesiona wiatrem. Przerażający dźwięk karabinów odbija się echem pomiędzy budynkami. Noc już teraz jest podziurawiona jak sito; w jej ranach i zagłębieniach narasta jednak jakaś inna ciemność. Najpierw przyłączam się do „zjednoczonego ludu bez klas i przywilejów” [1], który spajają coraz mocniej kolejne salwy. Tureckie flagi w różnych

rozmiarach; niektórzy owijają się w nie jak w całuny... Żołnierze Mustafy Kemala oddali swoje symbole wojownikom Recepa Tayyipa. Teraz ich kolej, by mówić: „To nasza ojczyzna, to nasz kraj!”... Wściekłość tłumu wzrasta z każdą kolejną kulą wystrzeloną z lufy; biegnę w okolice klubu officerskiego, gdzie za sprawą wozów opancerzonych nie ma nikogo.

Teraz schroniłam się pod ścianą między dwoma mężczyznami – prawdopodobnie policjantami – i czekam z głową schowaną w ramionach. Wśród tłumu doprowadzonego do furii salwami z broni automatycznej... W samym środku wojny (może i jest prawdziwa, ale wydaje się mniej realna niż sen), na którą nie znajduję w sobie żadnej odpowiedzi; w najdalszym, najbardziej obcym zakątku ziemi... Wygięłam się jak zamarły z przerażenia znak zapytania, zawieszona między niemożliwością ucieczki a niemożliwością pozostania. Między ziemią a kamieniem, między mrokiem nocy a mrokiem człowieka...

(Noc piętnastego lipca, Stambuł, dzielnica Harbiye. Sto metrów ode mnie, w budynku radia, od wielu godzin trwają walki, ambulansy nieustannie wożą rannych... Snajperzy zajęli pozycje wokół klubu officerskiego i nie pozwalają nikomu przejść. Na chodniku naprzeciwko leży niemal 200 osób, które razem trzyma grad kul...).

Schroniłam się pod ścianą między dwoma mężczyznami – prawdopodobnie policjantami – i czekam z głową schowaną w ramionach. Wśród tłumu doprowadzonego do furii salwami z broni automatycznej... W samym środku wojny (może i jest prawdziwa, bezlitośnie prawdziwa, ale mnie wydaje się mniej realna niż koszmar), na którą nie znajduję w sobie żadnej odpowiedzi; w najdalszym, najbardziej obcym mi zakątku ziemi... Wygięłam się jak zamarły z przerażenia znak zapytania, zawieszona między niemożliwością ucieczki a niemożliwością pozostania. Między nocą a rankiem, między ziemią a kamieniem, między mrokiem nocy a mrokiem człowieka...

Straszliwa eksplozja wstrząsa ziemią; za jej sprawą miasto

chwieje się jak szyld na poluzowanych śrubach. Na początku sądzimy, że to bombardowanie; ktoś upiera się, że to na pewno rakietą...

– Proszę spojrzeć – mówi policjant-zbieracz makulatury, tak jakby instruował świeżo upieczonego szeregowca. – Ten samolot, który przeleciał nad nami, to F-16! A zaraz za nim F-4!

Przed laty, jako studentka fizyki, analizowałam mechanikę fal wywołujących gromy dźwiękowe. Następujące jedna po drugiej eksplozje, które zagłuszają nawet nieznośny dźwięk karabinów, bombardujący moją czaszkę od środka i od zewnątrz... Na powierzchni nocy powstają głębokie rysy, olbrzymie pęknięcia i rzeczywistość wylewa się na zewnątrz jak wezbrana fala powodzi, po czym odpływa niczym naprędce sklecona kartonowa dekoracja. Pozostają już jedynie dźwięki... Dźwięki, których nie sposób wytrzymać, przed którymi nie sposób uciec... Ciemne pasy pokrywające płyty chodnikowe, długie, nieruchome cienie zmieszane z chłodem i wilgocią ściany, kilka osób stężałych tak, że nawet krew przestała im płynąć w żyłach, skulonych we własnych cieniach... Nie wiedzieć czemu, dzwonię do mamy, nie bacząc nawet na to, która jest godzina. To inny czas, w którym zegary nie działają, wskazówki nie ruszają się z miejsca... Chcę usłyszeć jakiś głos dochodzący z oddali, uchwycić się go i dzięki temu dojść do siebie w środku tej nocy, w której utknęłam... Ale nie umiem słuchać tego, co do mnie mówi.

– Co ty tam robisz? – pyta, ciężko wzdychając.

(Przebiegają przede mną dwa uliczne psy doprowadzone do szaleństwa przez eksplozje; pędzą najszybciej, jak potrafią, jeden za drugim, niczym zdyscyplinowani żołnierze, w dół, ku epicentrum wałk, pomiędzy pociski... Postawny mężczyzna podnosi się z chodnika naprzeciwko i krzyczy gniewnie: „Prędzej czy później zabraknie wam amunicji!”. Pokazuje snajperom, których nie jest w stanie dostrzec w ciemności, swoje puste dłonie, tak jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie, nie mam broni, ale zatłukę was tymi rękami!”... Dwóch 15- albo 16-letnich

Afgańczyków – którzy kilka minut temu, gdy schowana za jakimś wątłym drzewkiem próbowałam z nimi rozmawiać, spytali mnie, czy to wojna turecko-kurdyjska – rusza nagle przed siebie z pewnością ludzi uciekających przed o wiele brutalniejszym konfliktem; po niecałych 30 metrach kryją się jednak za wiatą przystanku autobusowego i kładą na ziemi).

Nie umiem znaleźć odpowiedzi na pytanie mamy; nie potrafię określić, jaką mam misję, a nawet – tożsamość.

Jestem w jednym z tych punktów losu, w których wszystkie drogi łączą się ze sobą w nierozwiązywalny węzeł; nie ma tu światła, nie ma wyjścia, nie ma powrotu – jak w trumnie... Nie ma tu czasu, który mógłby minąć jak przepuszczony przez ucho igielne i dotrzeć do „teraz”; nie ma tu tego „ja”, które na pewnym gruncie teraźniejszości zdolne byłoby ochronić swoją integralność, zapewnić sobie trwanie... Nie ma tu już nic, nic, co pozwoliłoby odróżniać od siebie słowa – wszystkie one tkwią w tym samym ciemnym splocie, łączą się ze swoimi antonimami i rozplývają – nic, co mogłoby oddzielić nadzieję od jej braku, strach od odwagi, bycie martwym od pozostawiania przy życiu.

– Przebiegły przede mną dwa psy! – krzyczę do trzymanego w dłoni telefonu. – Pędziły jak szalone. Próbowałam je zatrzymać. Znaczy, chciałam.

Poszarpane, pourywane zdania... Mój głos czyni słowa nieczytelnymi jak litery na wyschniętym, wyblakłym na słońcu papierze... W końcu włączę w tę opowieść i siebie albo to ona – historia pozostająca fikcją nocy – pochłonie mnie.

– PROSZĘ NIE PODNOSIĆ GŁOWY! Ile razy pani mówiłem?! – krzyczy mój instruktor...

„Uratował mi życie”. Powiedziałam to już kilkakrotnie, w trzeciej osobie liczby pojedynczej, w czasie przeszłym; chyba wciąż jednak tego nie słyszę, powtarzam jak szybolet, szukam wyjścia z tej nocy. Są takie chwile, tylko chwile, gdy rzeczywistość staje się rzeczywista... Nie ma z nich ucieczki i

pozostają anonimowe jak miejsce pod ścianą. Opowieści przychodzą później; umieszczają nieskończoność rzeczywistości – nocy, wojny – pomiędzy znakami interpunkcyjnymi. Również ta opowieść – fikcja nocy – wypełnia ową noc, która nieustannie dziurawiona rozszerza się wciąż i rośnie, aż zamienia się w bezkresną sieć, naszymi ciałami czy słowami; mamy nadzieję, że w ten sposób nadamy jej jakiś kształt. Zapewne nie był zbieraczem makulatury, lecz doświadczonym policjantem.

„Proszę leżeć, leżeć, LEŻEĆ!” – krzyczał, wskazując na ścianę, pod którą razem się chowaliśmy. (Tyle!). Był tej nocy moim jedynym przyjacielem, lecz przez myśl mi nawet nie przeszło mu podziękować.

Noc 15 lipca, dzielnica Harbiye, przed klubem oficerskim. Walki, które trwają od wielu godzin niedaleko, w budynku radia, prawie się zakończyły; słysząc wezwania do złożenia broni, a ambulansy wożą rannych za pozwoleniem snajperów... Gdy zaczęły latać F-16, krąg ognia, który dotąd trzymał cywilów na chodniku w bezruchu, rozluźnił się. „Wycofuję się” krok po kroku wśród wstrząsów i odgłosów bomb, chroniąc się w zaułkach, za budynkami, za drzewami.

– Nauczyła się pani! – krzyczy do mnie na pożegnanie mój instruktor...

Odczucia i doświadczenia wracają o wiele później. Wystygłe, wyschnięte, nie do rozpoznania... Niezdolne odnaleźć w moim „ja” miejsca dla siebie, wbijają się we mnie jak kolce. Czas, również oswobodzony z miejsca pod ścianą, w którym był uwięziony, wyprzedza mnie biegiem, pchając przed sobą noc do jej kresu. Niedługo zacznie świtać; maska mroku łuszczy się i odpada, lecz nie pojawia się za nią żadna twarz... Jak duch przemykam z powrotem tą samą drogą; te same aleje, znane mi doskonale ulice zdają się zdeformowane, zniekształcone. One też mnie chyba nie rozpoznają; nie są w stanie udźwignąć tego nowego ciężaru, tego zmęczenia... Mam wrażenie, jakbym stąpała po gęstym, lepkim błocie: każdy krok przychodzi mi z trudem...

Bez nadziei próbuję przyspieszyć, jakbym na szczudłach uciekała przed złowrogą bestią, która wyczuła zapach krwi... Nie licząc na sukces, usiłuję uczynić się niewidzialną, zniknąć w rozpraszającym się mroku nocy, schować w cieniu, zlać z ziemią i betonem, owinąć w ostatni kawałek ciemności wyrwany kończącej się nocy... Czuję się, jakby ktoś zupełnie mi nieznany umarł w moich objęciach; marznę w tym ciężkim nie do wytrzymania, pozbawionym czułości uścisku, marznę w tę lipcową noc tak bardzo, że tego nie pojmuję, trzęsę się od wielu godzin.

Dostrzega mnie z chodnika naprzeciwko i natychmiast do mnie podbiega. Wielki uliczny pies, niemal rozmiarów niedźwiedzia i w takim samym brunatnym kolorze – zapewne kangal półkrwi – z wielkim czarnym nosem i jęzorem wywalonym na zewnątrz! Widać, że nie boi się ludzi; szuka towarzysza, który podąży z nim tą samą drogą. On także zrozumiał, że w pojedynkę nie wydestanie się z tej strasznej, przerażającej nocy... Starannie i zupełnie serio gra rolę psa mającego właściciela: uważnie trzyma się ode mnie na odległość ramienia i dostosowuje swój krok do mojego wycieńzonego chodu... Bacznie rozgląda się na prawo i lewo, dumnie chroni mnie przed potencjalnymi wrogami i napastnikami... (Choć oboje przynależymy do tej drogi, do tej nocnej podróży po mieście rozchwianym jak szylt na połuzowanych śrubach). Małe nerwowe grupki trzymane w miejscu przez latające nad głowami F-16 nie patrzą w duchu solidarności na kobietę wędrującą samotnie o tej porze. Na wyludnionych skrzyżowaniach przybliżam się bardziej do mojego towarzysza, a ten dziwi się, że boję się tam, gdzie nie wyczuwa innych ludzi. Gdy zaś spotykamy skandujące tłumy z kijami i flagami w rękach, on przybliża się do mnie. Nie chce być głaskany; może w taką noc uważa to za sztuczne czy nie na miejscu, a może czułość jest już tylko bolesnym wspomnieniem... Nagle opuszcza mnie biegiem; psy i koty gonią się tu na wszystkie strony, a on wskakuje do sadzawki przed centrum handlowym Cevahir. Po kilku minutach, gdy F-16 znów przekraczają wśród eksplozji granicę dźwięku, ponownie pojawia

się przede mną cały przemoczony... Rozstajemy się w pierwszych światłach dnia, na ostatnim skrzyżowaniu. Pospiesznie i bez pożegnania, jak dwóch pokonanych wojowników, którzy nie odnajdują pocieszenia w tym, że zostali przy życiu... Oddałyśmy się szybko w przeciwnych kierunkach z nadzieją na odnalezienie życia tam, gdzie je zostawiliśmy, niczym dwie ofiary morskiej katastrofy, które utrzymały się na powierzchni, gdy ucichł sztorm...

Słońce dawno już weszło, lecz kolor krwi utrzymuje się na horyzoncie jak zawieszony na haku. (Na moście rozpoczęły się lincze.) Wydaje się, jakby nie był to nowy dzień, lecz kontynuacja, przedłużenie nocy... Światło dochodzące od odleglejszego, zimniejszego słońca nie ogrzewa, nie daje pocieszenia, nie obiecuje nic tym, którzy uratowali życie, ani tym, którzy je stracili.

Autorstwo: Aslý Erdogan

Tłumaczenie: Beata Kaczmarska

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPIS

[1] Cytat z „Marszu dziesięciolecia”, patriotycznej pieśni tureckiej skomponowanej w 1933 r. na obchody dziesięciolecia powstania Republiki Turcji.